



Stanisław Esden-Tempski

KUNDEL

Stanisław Esden-Tempski

KUNDEL

Trylogia heteroseksualna

1. Łowca orchidei

2. Kundel

3. Ucieczka do Polski

© Copyright by
Stanisław Esden-Tempski & e-bookowo
Projekt okładki:
e-bookowo
Zdjęcie na okładce: Autor

ISBN 978-83-7859-273-0
Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

galijscy nigdy nie spadali ze skały. Uczyli się wspinaczki od najwcześniejszego

dzieciństwa. Wyrastali na krępych, zwinnych mężczyzn – urodzonych wspinaczy. Kościec mieli

w pewnej mierze ptasi. Kostki ich stóp były dwa razy odporniejsze na skręcanie niż kostki osób

urodzonych gdziekolwiek indziej, a paluchy stóp mieli długie, krogulcze, odchylone w bok...

I

1.

Coś wreszcie jej nie usłuchało, złamało jej dumę! Po stypie pomyślałem: „No, ma czego chciała, poszła do piachu!” Myślałem, że mam ją wreszcie z głowy. Jak bardzo się myliłem, poczułem w Londynie.

Wynająłem pokój na Green, w Richmond. Moją lanlord była ostrożnie wścibska pani Medow – zadbana wdowa, uśmiechająca się na mój widok zgryźliwie i serdecznie zarazem. Gdy wieczorem wróciłem z POSK-u, wysławszy do „Dziennika” ostatnią korespondencję z karnawału pan, Medow wysunęła siwy pyszczek zza oszklonych drzwi pokoju przeznaczonego na biuro i spytała, czy wszystko załatwiłem.

– Tak, już ją pochowali – rzekłem obojętnie.

– Czy to była bliska osoba? – drążyła dalej.

– Ciotka Asia była moim ulubionym generałem.

Przez twarz gospodyni przemknął delikatny cień rozbawienia. Więcej okazać nie umiała, dlatego zamknęła płochliwie drzwi, jakby bała się, że chce się włamać do jej serca. I zbecześcić jej duszę. Uciekłem do pokoju na pierwszym piętrze. Tam, w fotelu pod oknem, było bezpiecznie.

Śmierć ciotki, jakkolwiek by to brzmiało, bardzo ułatwiła mi życie. Mój byt został zapewniony, zależny od własnej inicjatywy. Nie miałem nikogo, ale też na samą myśl, że ktoś mógłby się wtrącać w moje życie jak ojciec czy ciotka Asia, robiło mi się nieswojo. Londyn był tylko przystankiem do dalszej podróży. Chciałem otrząsnąć się z domowych miazmatów i uciec od męczących widm rodzinnych. Musiałem poskładać się w samotności. Za spadkowe pieniądze mogłem wreszcie pojechać na Hebrydy. Na wyspę Old Storr.

Wszyscy ciągną na Południe. Jakby w upale, w słońcu łatwiej się było odnaleźć. Głupi przesąd. To, co najistotniejsze, jest zawsze ukryte, tkwi w chłodzie i mroku. Dopiero w walce z ciemnością i zimnem krzepnie воск ducha. Pastor Macculloch pisał w 1851 roku:

„Utopia, tak długo szukana – gdzie ją znaleźć? Gdzie znajdziesz ziemię, na której nie ma armii, pieniędzy, kodeksów, gdzie lekarstwa są zbędne, nie ma polityków ani podatków, żadne gazety nie zaniepokoją cię swoimi sądami, nie spotkasz dziesięciny u drzwi kościoła, ręce prawa nie dosięgną białych, morskich głupek... Jest taka ziemia, powiadam wam. Ta ziemia – to Old Storr. Możemy ją łatwo zniszczyć naszym wścibstwem, zabić naturalne szczęście Storrów...”

Po ukończeniu cyklu korespondencji z karnawału w Notting Hill Gate planowałem ruszyć w drogę.

Zmierzchało już i z zielonych trawników Green dochodził szmer kroków. Nagle coś spadło mi na kark jak ciemny liść lub cień. Byłem pewien, że od tej chwili nic nie będzie już takie samo... Ogarnął mnie lęk tak silny, że na czole wystąpiły kropelki potu. Ścisnęło mi się gardło, a stóp dotknęła fala zimnej, lodowatej

pustki. Kręciłem się po pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Skąd ta nagle emocja – pytałem siebie. Dlaczego?!

Wstydziłem się swoich emocji, jak niegdyś wstydziłem się pryszcz i wychudzenia. Pryszcz już dawno znikły, stałem się postawnym mężczyzną, ale uczucia goniły we mnie bezładnie jak szczury w ciemnej piwnicy. Zawsze byłem nieopanowany. I – co tu dużo gadać –nieobliczalny... Ciotkę bardzo to gniewało. „Masz to po matce” – mówiła. To właśnie, w jej oczach, obnażało niższość mojej rasy...

Ale przecież j a musiałem c z u ć mocno, żeby być czegokolwiek pewnym. Nie ufałem myślom! Osamotnione, chłodne myśli – myśli bez mocnych uczuć – stawały mi w gardle jak niepodlany sosem kawał wołowiny. Jednak lęk, który mnie nagle ogarnął, nie chronił mnie, nie dodawał pewności. Przeciwnie – zdawał się być gniewnym pomrukiem Ciotki. Tak! Wciąż żyła we mnie niby jakiś dokrewny gruczoł lub krystaliczny procesor!

Zerwałem się z fotela i wybiegłem na Green. Nie piłem długo – dwanaście lat. Właściwie uważałem się za wyleczonego. Ale pomoc mógł mi jedynie alkohol...! Tylko on.

Nosić na głowie gliniany dzban – to wymaga ostrożności, ale nosić na głowie czajnik pełen wrzątku – to horror! Więc czemu się wahać? Czyż nie zasłużyłem sobie na chwilę psychicznego komfortu?! Na chwilę ulgi?!

Wargi mi wyschły, gdy wszedłem do pubu Gold Crown. Za barem stała tamta kobieta w towarzystwie rudzielca w okularach. Rudzielec miał nerwową, inteligentną twarz. Znałem mnóstwo takich typów, podobnych do mnie – sparaliżowanych tym, że się narodzili. Nawet gdy uciekają, ich bieg jest kurczowy. Kobieta uśmiechnęła się po angielsku, to znaczy tak, jakby ten grymas chronił przed upadkiem. Poprosiłem ją o whisky. Zapytała o którą. Co za różnica? Powiedziała coś do rudzielca i spostrzegłem, że pod jej układnością czai się agresja. Długo nie mogłem dojść, skąd to wrażenie. Dopiero gdy się odwróciła, jej profil obnażył to, co kryło się pod uśmiechem. Jej twarz nie była ludzka, płaska – była

pyskiem ogolonej małpy!

Nie mogłem dłużej znieść tego widoku. Wychyliłem jednym haustem alkohol i poczułem, że wszystko się nagle zmieniło. Moje przerażenie, moja gorycz doznały ulgi. Mężczyźni chodzili w krótkich spodniach, kobiety czesały długie włosy. Whisky wprowadziła mnie znów w świat doskonałej jednoznaczności.

2.

Jedynym dźwiękiem, dochodzącym do mego pokoju, był głos samolotów, chroniących się na Heathrow. Rzeczywistość stała się na powrót spójna. Była cała, jak cała jest noga w bucie. Mogłem po prostu siedzieć i myśleć. Zapomniałem, jakie to szczęście. Dwanaście lat – to już prawie inne życie! Lecz to, co widzę za oknem, może być zawsze dwojake. Pełne słońca i słodczy jak spacer po kwiaty, jak poranek w Garczynie, gdy siedząc w fotelu dziadka Beno mieściłem się w nim cały, a światło słoneczne było tak niewyobrażalnie miłe, jak może je odczuwać tylko chłopiec, spędzający wakacje daleko od domu. A potem ciotka Marysia przykrywała mnie przedwojennym, wełnianym kocem. Leżałem na puchowej mieliźnie, wiedząc, że gdy się obudzę, zjem pajdy świeżego, żytniego chleba, a Kasia zrobi psikus i pocałuje w policzek. Ale to samo może być zupełnie inne – ciemne i rozpaczliwe, obce, jakbyś już nie miał prawa

do życia. Gdy żagwie lęku zapłoną w moich żyłach. I nie będę wiedział, czy wytrzymam choćby tę jedną chwilę, potrzebna, by się ubrać. Kiedy jak wściekły pies będę bał się wody! I dobrze mi będzie jedynie w kompletnej ciemności, gdy będę czuł, że zasypiam, marząc o Hebrydach.

Stary, zakurzony numer „Problemów”, który uświadomił mi istnienie Old Storr, znalazłem u ciotki w szufladzie ogromnej gdańskiej szafy. Chciałem natychmiast lecieć piętro wyżej, do Mirka, by pochwalić się znaleziskiem. Nie zdążyłem jednak zrobić ani kroku, gdy do salonu weszła ciemna od urazy i oburzenia sama

Joanna Somk, grożąc chudą, szponiastą ręką:

– A kto ci, kawalerze, pozwolił wchodzić tutaj pod moją nieobecność?! Czy tam, na dole, uczą cię, że można grzebać w cudzych szufladach? Wyjdź, proszę – rozkazała.

Później cała rodzina przypominała mi, gdy tylko była ku temu okazja, ten incydent jako przykład, do czego mogą doprowadzić braki w kindersztubie. Bo przecież ja nie byłem w Gdańsku s w o i m, ani nawet przyjeźdnym, jak moja matka. Urodziłem się i trwałem w jakiejś bolesnej strefie niczyjej. Mama mówiła, że jestem po prostu k u n d l e m.

Do pieczar ciotki Asi wkradałem się pod jej nieobecność, zwykle po to, by dotykać rzeczy, do których nigdy nie będę miał prawa. W szufladach ciotka gromadziła cały śmietnik. Zwiędłe róże z butonierki Antonio Wiatraka, konsula prawie wszystkich bananowych republik, rękopisy liryków Pompowskiego i Przybyszewskiego, guziki i wizytówki prababek, poźółkłe blankiety firmowe dziadka Beno... Nad tym wszystkim unosił się swąd naftowego oświetlenia jak zapach cmentarnych chryzantem. Bez tej archeologii tamten świat, Wolne Miasto Gdańsk, mógł zostać podany w wątpliwość, mógł zostać nawet zanegowany. A wtedy nasz dom stałby się pustą karoserią, mój umysł komputerem bezsensownie świecącym w półmroku, a ja sam – człowiekiem bez programu. Moje maszyny mogły zamilknąć na zawsze. To przerażało. Ciotka umierała dwa lata, oglądając telewizję. Pewnego dnia nie mogła już iść sama do sklepu monopolowego, by kupić swój codzienny koniak. Wykrzykiwała wtedy:

– Nie chcę już żyć, Jacek. Chcę do piachu!

To było fałszywka. Myślała, że tym bluźnierstwem wyjedna zwłokę. Wystraszy kostuchę! Była agresywna – lęk walczył w niej jak kot w worku, ranił każde jej słowo.

Jakie binokle wkładała na swój haczykowaty nos, gdy krzyczała tak w nocy? Może wołało z niej jakieś trzecie ego, z którym obcowaliśmy codziennie, nigdy go nie znając – ego Ciotki Asi, ego

Starego Karamazowa? Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem.

Któregoś dnia położyła się na tapczanie przed telewizorem i już nie wstała. Pochowaliśmy ją obok pradziadka na cmentarzu w Oliwie. Byliśmy zadowoleni, że mamy taki grób, grób wielu pokoleń i nie musimy wałęsać się po jakiś Łostowicach czy Srebrzyskach. Było to w samo skwarne południe. Płakałem, jak to mężczyzna, raczej wyciskając łzy na dowód płaczu niżli dając się ponieść uldze. Między nami nie mogła być do pomyslenia jakakolwiek równość. Czy dlatego tak mało było we mnie żalu? Całując jej dłoń na przywitanie i pożegnanie, zawsze miałem wrażenie, że to dłoń istoty wyższego gatunku. Myślałem o zmianie nazwiska. Ale jak długo można udawać, że nie jest się częścią tego, co cię tworzy? Bez czego byś nie istniał? Nawet w piwnicy na Kuźniczках, we Wrzeszczu. Ze zdziwieniem dowiedziałem się od adwokata, że po sprzedaży domu dziadka Beno, gdzie kitwasiliśmy się wszyscy, otrzymam niezłą kasę. Zapragnąłem szerszego oddechu. I wyjechałem.

3.

Wolałbym go, rzecz jasna, nie spotkać. Ale stało się – wpadłem na niego i Janice. Wysiadłem na stacji Notting Hill Gate. Cały peron wypełniony był tłumem, który posuwał się stopa za stopą między szpalerami policjantów. Stacja od rana przyjmowała pasażerów „do”, lecz nie „z powrotem”. Nie można było stąd wyjechać aż do siódmej wieczorem, by nie tamować ruchu przyjeżdżających.

Przed wyjściem z podziemia tłum kontrolowały nowe szpalery bobbych i policja konna. Na malutkim rondzie siedzieli długowłosi chłopcy i ich łyśsa dziewczyna z dwoma rudymi szczeniakami, które sikały i szczekały. Łyśsa dziewczyna była spokojna i ziewała, nie zakrywając ust. Na słupach świateł ulicznych wisieli młodzi ludzie, podrygujący w takt muzyki reggae, dobywającej się z tysięcy głośników. Po chwili ogłuchłem i zobojętniałem. Krok tłumy stał się taneczny, jeśli to, co robiłem z nogami, posuwając się o pól

stopy do przodu i ćwierć stopy do tyłu, można nazwać tańcem. Sprzedawcy zachęcali do kupna gwizdków, grzechotek, bębenków i marakasów. Przed nami jechał samochód z brazylijską orkiestrą, a ponad głowami tłumu widniały czarne tancerki z pióropuszcami na głowach.

Przez chwilę znów ogarnął mnie łapczywą, niemiłosierną falą lęk. Niosłem w sobie dźwięk bardziej przejmujący, niżli muzyka płynąca głośników. Dźwięk, poprzedzający katastrofę. Kiedy usidlało mnie to uczucie, mogłem tylko bezwolnie posuwać się z tłumem. To znaczy – szły moja rozpacz, mój brak sił. Było to bolesne, jakby każdy mięsień kurczył się w innym czasie. I ten skurcz trwał. Ale próbowałem i potrząsałem marakasem, który chyba kupiłem przed chwilą. Podeszła do mnie czarna tancerka i pocałowała w usta. Pachniała czymś, co przypominało jesień. Odwdzięczyłem się jej grymasem. Gdy spróbowałem ją objąć, uciekła. Nagle zobaczyłem go, jak wynurza się spomiędzy tancerzy. Początkowo nie dostrzegłem żadnego podobieństwa. Miał sztuczną brodę, zawinął spodnie i wpuścił nogawki w długie skarpety, nosił koszulę w gryzącym kolorze pink i góralską kamizelkę. W ustach trzymał piszczałkę, w którą poświstywał. Rozbawieni tym widokiem Anglicy ciągnęli go za brodę, a on przewracał oczyma i z ust wypelzał mu pomarańczowy fallus. Wybuchaly salwy śmiechu. Zanim szła kobieta ledwie po trzydziestce z miną i w stroju, który natychmiast wzbudził moją niechęć. Była to wysoka blondynka, zapięta na ostatni guzik, trzymająca się prosto i niosąca swą niezależność od tłumu jak bukiet. Nasze oczy spotkały się na chwilę. Odwróciłem wzrok. Nie chciałem mieć nic do czynienia z tą parą. Po chwili jednak Lajkonik wyrósł przed moimi oczyma.

– To ty? – zapytał.

– Nie rozumiem – odparłem nieprzytomnie.

– Nie poznajesz mnie?

Zastanowiłem się chwilę. Ta czterdziestoletnia twarz coś mi mówiła. Ale kto to mógł być, u diabła?

– To ja, Mirek.

Wtedy sobie przypomniałem. To był Mirek! Ale skąd w Londynie? – myślałem szybko. – Czy to możliwe? Według moich ostatnich informacji powinien być na terapii grupowej z narkomanami w Ohio. Psychologia – to nie był jego wyuczony zawód. Jak większość został terapeutą z przypadku. Najpierw odbył kurs social worker w Nowym Jorku. Co mu strzeliło do głowy z tą sztuczną brodą?

To już piętnaście lat... Od czasu, gdy ujrzałem człowieka, malującego fugi pomiędzy cegłami muru pewnego domu w Oliwie. Jechałem tramwajem, i widząc go, powiedziałem sobie: „Jakie białe są te fugi!” – Zrobił właśnie trzy rzędy. Fugi świeciły świeżą bielą jak zęby telewizyjnej kukły. – „Ja go w tym momencie zapamiętam.” – Będzie żył, wyciągając rękę, by nabrać farby do pomalowania fugi czwartej. Lecz się zatrzyma (rzeczywiście się zatrzymał!). Nie będzie malował dalej. Będzie żył we mnie pomiędzy fugami i palił papierosa jak na przerwie między lekcjami. Klęczący na rusztowaniu, w ciemnoniebieskim kombinezonie i pijący piwo. Mój tramwaj go minął. W międzyczasie zniknął mur berliński, rozpadł się Związek Sowiecki i umarła w bezlitosnych boleściach ciotka Asia. Ja natomiast stałem się dalekowidzem, a teraz tracę oko i najbliższe badanie w Charing Cross Hospital ma potwierdzić ten wyrok. Nie wyobrażałem sobie, jak być jednookim. Milicjant, który mi to zrobił, przeszedł właśnie weryfikację i będzie służył nowemu ustrojowi. Moja depresja nic go nie obchodzi.

Mirek uśmiechał się do mnie serdecznie. Janice uśmiechała się także. Zaofiarował się, że przyniesie z baru trzy piwa.

– Nie piję...

– Ty?!... Od kiedy?

– Od... tamtej nocy.

– Gratuluję. Ale... coś musiało się stać...? – był szczerze zaniepokojony. – Co się stało? Po prostu robisz ze mnie wata? Co?

Przyznaj się – próbował przyjąć to jak dobry żart.

– Co za różnica? Wierzysz, nie wierzysz – twoja sprawa. Wiesz, ciotka poszła wreszcie dopiekle! – powiedziałem ze złością. Mój głos był cichutki i cienki, ale nie potrafiłem mówić głośniejsze. Mirek wyciągnął szyję, by mnie dosłyszeć. Ulica ryczała, młody barman puszczał ostrą rockową muzykę.

– Szkoda.

– Jasne, że szkoda.

– Jak to możliwe? Nie była przecież taka stara...

– Była żywotna, ale pamiętaj, że miała osiemdziesiąt sześć lat.

– Aż tyle?

– Wydawało się, że będzie żyć wiecznie.

– Jak to się stało?

– Nie wiem, tego właśnie nie rozumiem. Pod koniec życia stała się bogata i cały czas szykowała się wyjechać do Niemiec. Ale potem jej przeszło. Posyłała mnie na Wallenroda po swoją ulubioną brandy.

Janice uśmiechała się.

– Przynosiłeś jej?!

– Tak.

Wbiłem wzrok w okno pubu. Zatrzymały się tam trzy czarne piękności z pióropuszcami na głowach i ogromnymi kołami w uszach, miały srebrne lub złote biustonosze. To było całe ich ubranie. Po lewej stronie okna wisiał portret angielskiego dżentelmena w cylindrze.

– Nic ci nie zostawiła? – spytał dociekliwie.

W tym pytaniu tkwiła niewyrażona obawa: „Czy to znaczy, że teraz ty jesteś właścicielem chałupy Somków?”

– Zostawiła – zapiszczałem. – Coś zostawiła i wszystko zabrała. Teraz naprawdę już wszystko się skończyło. Wraz z odejściem ich obojga – jej i starego Karamazowa... On też

kopnął w kalendarz.

– *Karamasov* – wtrąciła z dumą przysłuchująca się tej rozmowie Janice – to z Dostojewskiego?

– Stary Karamazow – to mój ojciec...

Janice spojrzała na mnie w milczeniu. Miała oczy szare jak piasek w Garczynie.

– *You are poor...* – powiedziała cicho.

Nienawidziłem takich bab. Już chciała mnie zagłaskać! Była opięta w dżinsową kamizelkę, własnoręcznie wyhaftowaną, jak w kamizelkę kuloodporną. Nosila rozpuszczone dwoma skrzydłami jasne włosy. Była zamknięta na zatrzask, który mieścił w jej jasno malinowych ustach. Jej zęby były strasznie białe, prawie sztuczne. Już jej nie znosiłem!

– Karamazow... Współczuję ci... – zachnął się Mirek. – Zdawało mi się jednak, że był między wami jakiś ciepły kontakt?

– Nienawidziłem go, zresztą... czy ja wiem?

Moje palce poczuły znów, jak wpycham do ust jedzenie, by ojciec zjadł cokolwiek. Miał ptasie spojrzenie spomiędzy poduszek. Teraz wiem, że nie jadł, bo się bał.. Ja też jadam niewiele.

– Dobrze ci tam jest? – zapytałem bezradnie.

– Co to znaczy dobrze? Czy mi dobrze w Stanach? Tak, stary, robię to, co zawsze chciałem robić. Wyciągnął z portfela kolorowe zdjęcie na tle palm. Palmy były ogromne, a on sam mały jak mysz.

Zamyślił się. – „Nie możesz poddawać się temu stanowi. Jacek!
– krzyknął. – Czemu robisz takie głupie miny? Co ty, dziecko?” –
wystawiałem język do Janice, która była zaskoczona i próbowała
się uśmiechnąć.

– Gdzie mieszkasz? – spytał.

– Nie powiem ci.

– Dlaczego?

– Wiesz sam. Będziesz się wtrącał!

– Nie możesz być sam. Ty przecież sam się nie wyciągniesz...
Zacznieś chlać, stary! To pewne, jak w banku! – Zrobiło mi się
gorzko.

– Jedź z nami do East Isley. To urocze miejsce – bredził. –
Wynajmiesz tam pokój, a jeśli nie masz forsy, pomożemy ci...

– Nie mogę. Czy nie widzisz, w jakim jestem stanie?

– Do narzekania zawsze znajdziesz mnóstwo powodów, ale
później, zgoda? Posłuchaj ,przyjacielu... Nie możesz się poddać.
Jeśli poddasz się, nie będzie ci potrzebne żadne towarzystwo,
a szpital! Nie rozumiesz?

– Myślisz, że tego nie wiem? Nie!

– Dlaczego?

– Boję się.

– Po co się bać?

– Nie ma „po co”! To fakt!

– Gdzie? – rozejrzał się wokół. – Nie widzę nic, co może
wywoływać lęk. Po jaką cholerę ci lęk?

– Nie możesz zrozumieć.